

**Pavel Brycz *Patriarchatu dawno minioną chwałą* (fragment):**

Rodzina Kochanych mieszkała w pięknym miasteczku z klasycystycznym zamkiem w kolorze czerwonym, z widokiem od frontu wprost na ciemną Jana Ewangelisty Purkyniego, sławnego rodaka, który odkrył wiele cudów życia, badał komórkę i fizjologiczne procesy organizmów, a dzisiaj, martwy, z wysokości cokołu spoglądał na życie wokół siebie i nie drażniły go ani gołębie odchody, które brudziły jego szlachetną głowę, ani wrzask pawi z paletą malarską na wachlarzowatych ogonach; nie znały one jego pełnego imienia, ponieważ deszcze i czas zmyły połowę napisu na cokole, tuż pod brodą, albo też nie umiały czytać i krzyczały tylko:

„-rkyni, -rkyni, -rkyni!!!”

Przez lewe skrzydło zamku można było wejść do ogrodu, w którym rabatki pełne pstrokatych bratków miały geometryczne kształty, a soczyscie zielone krzewy były przycięte stożkowato i świeciły się niczym lampy z zielonymi abażurami.

Takie było zatem najpiękniejsze miejsce na świecie, w nim od urodzenia mieszkała Kwietka Kochana, a Roland Berezinko powiedział o nim, że ludzie nie umierają tu z powodu podeszłego wieku, lecz z nudy i od słuchania opowieści jej matki.

Kwietka, już bez gipsu na lewej nodze, skończyła praktykę zawodową w mieście portowym i do garsoniery Rolanda przyjeżdżała już tylko w weekendy. On starał się unikać historyjek o topielcach z włosami jak wełna oraz wstrętnych wrzasków małomiasteczkowych pawi.

Nie gościł w świecie swojej narzeczonej, Kwietki, zniechęcił go, nim go faktycznie poznał. Może nie chciał przystać na to, że tylko taki mały prowincjonalny świat chce go wziąć w swoje objęcia. Żadna tam Ameryka! Pycha oraz niczym nieuzasadniona ambicja nie wygasły w nim tak zupełnie.

Poza tym życie Rolanda nie uległo żadnej zmianie, każdy dzień kończył przy piwie i gdyby nie to, że kajał się przed Kwietką za każdym razem, gdy mu minął kac, z pewnością już dawno by go zostawiła.

Mimo to nastał dzień, w którym Kwietka przyprowadziła swego wybranka, by go przedstawić rodzicom. Roland przybył starannie ogolony, ostrzyżony, z pomadą na resztkę włosów, usiadł u szczytu stołu i sztuccami dźgał indyjskie udko z ugrzecznieniem słuchając opowieści swojej przyszłej teściowej, jak to mała Kwiecieńka narobiła w majtki na scenie podczas amatorskiego festiwalu teatralnego. Pani Maria grała wówczas małą rolę w przedstawieniu o czartach i miała do wypowiedzenia kwestię: „Strasznie czuć tu siarką!”, a Borzywój Kubiak, kierownik spod „Czarnego Orła”, oznajmił przed całą salą: „Prędszej gównem!”

Pani Maria roześmiała się, a Roland Berezinko z trudem wydobył z siebie coś na kształt rechotu.

Piękny pan Włodzimierz, który wyglądał lepiej i młodziej niż przyszły zięć, wstał od stołu i udał się do przedpokoju. „Kwieto!”, zawołał.

„Tak, tatku?”, poczęła za ojcem córka.

„Czy na pewno dobrze wybrałaś?”, pytał troskliwy ojciec. „Nie jest zbyt stary, nie brakuje mu zbyt wielu włosów, nie ma worków pod oczami od ciągłego hulania i nie ciągnie go za bardzo do kufla z piwem?!”

„Nie, nie, tatku, ty go widzisz w całkiem złym świetle, przecież on jest zupełnie inny.

Naprawdę. A na przykład Janek, kiedy ze mną chodził, zaraził mnie żółtaczką, a kiedy chciał dla mnie wygrać różę na strzelnicy, to śrut odbił się i wpadł wprost w moje oko, i na motorze jeździł ze mną jak wariat, tak że o mało nie umarłam z tej jego miłości”, Kwietka płaczącym głosem broniła swego Rolanda.

„Już dobrze, dobrze”, uspokajał ją ojciec, „ale z tym ślubem moglibyście chyba trochę

zaczekać, mówiłaś, że nie ma mieszkania...”

Kwieta poczerwieniała i spuściła wzrok na swoje buty.

„Ale kiedy ja... my... bo Roland... a właściwie ja... my spodziewamy się dziecka”, wyrzuciła z siebie.

Pan Włodzimierz błysnął gniewnie oczyma. „Hm, no dobrze, już do tego nie wracajmy”, przełknął ciężko ślinę.

Potem wszedł z córką do kuchni, gdzie pani Maria opowiadała o Kwiecieńce, jak się posikała na warcie honorowej przy Grobie Nieznanego Żołnierza, przyskoczył do Rolanda, wyrwał mu sztucę z ręki, wskazał indycze udko i zaryczał jak tur: „Niech pan je rękami!”

Obrócił się potem w stronę pani Kochany i z przejęciem w głosie wyszeptał: „Daj już spokój tym historyjkom, Maniu, nasza Kwieta jest już dorosła”.